



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży z działem dla dzieci

I DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.

W książkowym dodatku miesięcznym wychodzi obecnie: „Szkoła Krzemieniecka.”

CHOINKA BEZDOMNYCH.

P. ZOFII BUKOWIECKIEJ

poświęca autor.

Uśnieszony, głuchy las,
Dzień zimowy rychło zgaśł...
Idzie dwoje w mroźny czas.
Sierotęńki z bliskiej wsi,
Z głodu, zimna każde drży...
A już Gwiazdka z nieba łśni.

Każdemu o szczęściu się marzy
I własne się śmieją nadzieje,
I w duszy obraz ponętny
Jaśnieje.

Więc pośród głuchego boru
Roją ich główki dziecięce
O świętem Dzieciątku Jezus
W stajence.

I o pastuszkach z Betleem.
I o tej gwieździe, co świeci,
I o tych darach, co niesie
Dla dzieci... dla wszystkich dzieci!
Wtem przystanęły... O szczęście!
Błask nagły oczy ich trąca:
Przed nimi strzela choina
Płonąca.

I świetzki na niej migocą,
Złote orzechy, jabłuszka,
Na igłach chwiewią się kraśne
Serduszka.

Stoi świetlista choina,
Ogrzewa, oczy weseli...
Może tam cieszą się razem
Boscy anieli?

Uśnieszony, głuchy las,
Dzień zimowy rychło zgaśł...
Idzie dwoje w mroźny czas.
Sierotęńki z bliskiej wsi,
Z głodu, zimna każde drży...
Ach! zawodu gorsze łzy!

* * *



Błogosławiony, kto w duszę bliźniego
 Zdoła wlać radość, jak promyk do celi,
 Kto ze stubarwnych tęcz ludzkich nadziei
 Choć jedną smugę do stóp im uścieli.
 Błogosławione po trzykroć i święte,
 I jako matki rodzonej — są ręce,
 Co choćby jedno wypełnią niewinne —
 Jedno marzenie dziecięce!

IGNACY BALIŃSKI.

Wszystkim Czytelnikom i Czytelniczkom,
 ich Rodzinom oraz swoim Współpracownikom
 redakcja „Wieczorów Rodzinnych“ przesyła ser-
 deczne życzenia „dobrych“ Świąt. Oby Jezus Chry-
 stus, który poświęcił się dla zbawienia ludzkości,
 usunął przemoc, ucisk i niesprawiedliwość z serc
 i zarządzeń ludzkich, oby nie czyniono już krzy-
 wdy dziatwie i młodzieży polskiej, ani żadnej in-
 nej, ani żadnemu narodowi, ani człowiekowi, an-
 żadnej istocie na ziemi całej.

Jak obchodzono w Polsce Wigilię.

Dawnymi czasy uroczystość wigilijna w Pol-
 sce zaczynała się z chwilą ukazania się „gwiazd-
 ki“ na niebie, która zwiastowała światu naro-
 dziny Dzieciątka Jezus w miasteczku Betleem,
 gdzie w ubożuchnej stajence św. Józef z Naj-
 św. Maryą Matką chwilowo znalazł gościinę.

Na kilka dni przed uroczystością wigilijną
 tak w chałupce ubożego kmiotka, jak w pa-
 łacu karmazyna, panował ruch niezwykły, przy-
 gotowania do solennego obchodu tej radosnej
 chwili zagnęły wszystkich do zdwojonej pracy.
 Przyrządzenie na czas uczty wigilijnej, złożo-
 nej z 3-ch do 12-tu, a czasami i więcej potraw,
 było sztuką nielada.

Wszystko to spoczywało na głowie czyn-
 nej gosposi, która jak rotmistrz w tańcu z Ta-
 tarami, dowodziła w kuchni licznym poczem
 domowników, starając się z całą zabiegliwością,
 ażeby wszystko było smacznie i obficie spo-
 rządzone.

Gdy symboliczna „Gwiazdka“ ukazała się
 na niebie, a domownicy i goście zebrali się
 w sali biesiadnej, gospodarz łamał się ze wszyst-
 kimi poświęconym opłatkiem, składając sobie
 wzajemne życzenia: „wszelkich pomyślności
 w tej wędrówce życia i dosięgu roku“.

Nierzadko w tak uroczystej chwili, przy
 opłatku, przebaczano sobie dawne urazy, i po
 bratersku załatwiono spory od lat wielu dzie-
 lące zwaśnione rodziny.

Po tej ceremonii zasiadano do stołu, za-
 słanego sianem, a po dworach wiejskich, w każ-
 dym kącie izby biesiadnej, ustawiano snopy
 rozmaitego zboża, przyczem, jak wspomina Łu-
 kasz Gołębiowski (*Lud polski, jego zwyczaje i za-
 bobony*) stół opasywano łańcuchem, aby chleb
 na nim zatrzymać, a pod nim kładziono żelazo
 płuźne, aby krety roli nie psuły.

W czasie uczty zabawiano się rozmową
 wesołą przeplataną anegdotami i przystojnymi
 żarcikami, bo w tego rodzaju zabawie ojcowie
 nasi wielce się kochali. Ku końcowi biesiady
 kawalerowie i panny wyciągali żdźbła lub kło-
 sy z pod obrusa celem wróżby o przyszłym
 ich stanie małżeńskim: jeżeli żdźbło zielone,
 niewątpliwa oznaka, iż panna w nadchodzące
 zapusty przywdzieje wianuszek mirtowy, a ka-
 waler stanie na kobiercu ślubnym; jeżeli zwię-
 dłe—panna musi jeszcze czekać na oblubieńca,
 a kawaler na pannę; a jeżeli, broń Boże, cał-
 kiem żółte, zła to wróżba, dziewica zostanie
 panną, a chłopiec—kawalerem.

Dawne uczty wigilijne w ogóle odznaczały
 się obfitością dań i wystawnością stołu. Oczy-
 wiście, stan majątkowy, zresztą jak zwykle,
 odgrywał tu ważną rolę. Ubogi raczył się po-
 trawami, jak: polewka z piwa, groch, grzyby
 suszone, kapusta, kluski z makiem i t. d. nieco
 zamożniejszy szlachetka lub mieszczanin miał
 już rybę, śliwy suszone i inne świąteczne do-
 datki; ale za to pan rozległych włości na Wi-
 gilię występował z istic magnackim przepychem.

Najpierw podawano do wyboru rybną po-
 lewkę z kluseczkami, barszcz postny z uszkami
 z grzybów lub zupę migdałową, mlekiem za-
 prawną, potem wiele gatunków ryb, rozmaicie
 przyrządzonych: karpie z sosem szafranowym,
 łososie na burgundzkim winie, sandacze po
 węgiersku z korzeniami, dalej szczupaki, su-
 my, liny, poczem zjawiały się na stole pół-
 miski z potrawami wigilijnymi, jak: kapusta
 z grzybami, kluseczki z makiem, wreszcie gru-
 szki i śliwy suszone, a na Litwie kisiel i ku-
 cya, a wszystko to smakowicie i ostro sporzą-
 dzone, bo dawniej Polacy chętnie lubili spoży-
 wać w ten sposób przyprawione pokarmy.

Po rybach i kluskach następował deser,
 na który składały się smakołyki w domu spo-
 rządzone i bakalie, z obcych krajów sprowa-
 dzone.

Stały też flasze z rozlicznymi gatunkami
 wódek, między którymi pierwszeństwo trzyma-
 ły: starka z dębowej beczki, gdańska ze złote-
 mi płatkami, kordybanowa, z tataraku i kon-
 walii pędzona, biała morwówka z białej mor-
 wy, cynamonka i t. d., dzbany z wysmienitym
 miodem i domowem piwem, nawet gąsiory z wę-
 gierskiem, bo w myśl przysłowia *Post pisces,*

vinum misces, należało dobrze zakropić tak suta ucztę.

Były wina z dalekich krajów, po większej części dla dam, jak: kanaryjskie, małmazya, hispańskie słodkie, pieprzykowate, petercymenty, muszkatele, alikanty i t. d.

Do osobliwości wigilijnych należał specjalny gatunek pieczywa, który oddawna z niemieckiego nazywano struclą. Po dworach większych, a nawet w miastach sadzono się, ażeby strucle były smaczne i dobrze upieczone, a prztem nadawano im niekiedy wielkość olbrzymią. Dwa lub trzyłokciowe do osobliwości bynajmniej się nie zaliczały. Łukasz Gołębiowski w „Opisaniu historyczno-statystycznym m. Warszawy“ wspomina, iż pod r. 1732-im Kacper Janicki zaznaczył, że piekarz Szyleon w podarunku dla podmarszałka królewskiego, von Kropnitza, na Wigilię upiekł tak olbrzymich rozmiarów struclę, że dwóch czeladników musiało ją na ramionach zanieść do domu obdarowanego.

Tenże autor w dziełku „Domy i dwory“ podaje, że w roku 1764-ym a pierwszym panowania Stanisława Augusta, piekarz warszawski, Gottlieb Szyller, na „Gwiazdkę“ dla króla jegości upiekł struclę, która miała 7 łokci długości, na pamiątkę elekcji króla na tron polski 7-go września, mąkę do niej użyto z 15-tu młynów, dlatego, że król urodził się 15-go stycznia, a rozmaitych przypraw do niej użyto aż 32-ie, bo w tym wieku życia Stanisław objął władzę monarszą. Tę olbrzymią struclę niosło do króla dziewięcioro dzieci piekarza, a to dla tej przyczyny, iż wrzesień, w którym odbyła

się elekcya, jest dziewiątym miesiącem roku. Król łaskawie przyjął podarunek, obdarzwszy hojnie dowcipnego piekarza i jego dzieci, a struclę ofiarował klasztorowi p. p. Bernardynek, gdzie też znajdował się opis tego wydarzenia.

Ubogim czy bogatym musiał mieć struclę na stole wigilijnym, bo tak chciał zwyczaj i tradycja, której ojcowie nasi pilnie przestrzegali. Jeżeli kto był już tak ubogim, iż go nie stać było na struclę wigilijną, pukał do furty klasztornej lub do drzwi możniejszych, a nigdy w tak uroczystej chwili daniny mu tej nie odmawiano.

Przeciwnie, dawniej po domach polskich starano się zawsze mieć przy stole wigilijnym ubogiego; jeśli narazie nie było takiego gościa, pozostawiano na wszelki przypadek nakrycie wolne dla niego.

U ojców Teatynów, którzy na samym początku zeszłego stulecia mieli swoje kolegium przy ulicy Długiej, przez długi czas było zwyczajem w wigilię Bożego Narodzenia rozdawać ubogim struclę z premiami. W jednej z tych struclii znajdował się wewnątrz znaczek, dający prawo do otrzymania premium, na które składało się całkowite utrzymanie wybrańca losu, a nadto gotowizna w kwocie 200 tynfów.

W r. 1760-ym odbyła się wspaniała Wigilia na dworze hetmana Branickiego w Białymstoku. Opis tej uczt, zdaje się, skreślony przez naoczego świadka, daje nam doskonałe wyobrażenie o wystawności biesiad wigilijnych na schyłku czasów saskich.

Przytaczamy go w całości:

«Rzadko znakomitsza czyja
Może byż w świecie Wilija,
Jak była przy gości tłoku
Wczoraj u nas w Białymstoku,
W domu przeznaczonego Pana
Kasztelana i Hetmana.
Chociaż była pora chłodna
Przyjechali goście z Grodna,
Z Łomży, z Wizny, z Tykocina,
Z Bielska, Brańska, z Drohiczyzna,
A nawet nasz Pan łaskawy
Pozapraszał i z Warszawy.
Jaki gwar naszych szafarzy,
W kuchni dwudziestu kucharzy
Piętnaście stołów obsiadło.
Więc opowiem, co tam jadło.
Początek sutej Wilii
Był od Litewskiej Kucyi,
Item ogromne szczupaki,
A jeden z nich był aż taki,
Że go dźwigali dwaj chłopcy,
Długi pół dwunastej stopy.
Item karpie zbyt szerokie,

Przy nich flondry jednookie.
Item stynki w długim sosie,
Po nich z przyprawą łososie.
Item ze Żmudzi wizina,
Item specyjały z lina,
Item okonie nadziane
I sandacze sprowadzane.
Z marynaty danie drugie:
Węgorze na łokieć długie,
Rarytatesy rozliczne
Zamorskie i zagraniczne.
W trzecim daniu na przysmaki,
Ostrygi, żabki, ślimaki
I wcale przysmaczek nowy
Na frykas ogon bobrowy.
Po krótkiej chwili spocznienia
Przyszła jesiotrza pieczenia,
Obok niej rybiątek tłumi
I przeogromne dwa sumy.
Nowy serwis został dany:
Królewieckie marcepany,
Apelcyny z Carogrodu,
Daktyle z Szacha ogrodu,

Piramidy z cukru lane,
Bożkowie z ciasta udane,
Paszтет (któżby się spodziewał)
Że w nim żyw karzeł spoczywał,
Podniósł się człek małuteczki
A nastróiwszy skrzypeczki,
Dziękując gościom za względy
Zagrał piosneckę Kolendy)
Zaś zakończyły Wilije
Azjatyckie bakaliје,
I tak ogromne pierniki
Z pieca Jejmość Dobrodziki,
Że jak pod kołdry jakimi,
Można się przespać pod niemi.
A co prócz jadło użycia
Było tam jeszcze do picia,
Tego i wyliczyć próżna,
Každy wie jak jest zamożna
Sławna po świecie piwnica
Naszego Pana Dziedzica.»

z art. H. Sadowskiego.

G Ł Ó D.

Obrazek dramatyczny w 1-ej odsłonie
przez ZOFJĘ MROZOWICKĄ.

(Ciąg dalszy.)

Dzieci: Oj, dobrze, tatulu, dobrze! *(otaczają go wiankiem, Bogna stojąc za nim, chyli mu się do ramienia, Mirko i Jagusia opierają się o kolana — babka, żywiej trąciwszy kołębkę, zwraca także zaciekawione oblicze ku mówiącemu).*

Ojciec: Od ludzi to mam, bo poszła wieść z ust do ust po świecie: podając to sobie w najdalsze okolice!

Babka. A coby człek biedny wiedział, żeby nie takie od ludzi podanie!

Ojciec. Ono to się tak działo: w Oliwie, u Ojców w klasztorze, że tak jak u nas — z nakazowania Boskiego i króla Kazimierzowego — rozdawali chleby. Przyszedł ci jeden skąpiec okrutny, co nawet tak bardzo łaknący nie był, bo bogacz dziesięciokrotny — jeno, że łakomca wielki na dobro. Ten se stawał to napoczątku, to pośrodku, to znów u końca szeregu, i precz rękę wyciągał, a szafarze, nie uznając go, że to ten sam — jako że to człowiek do człowieka podobny, a każdy mizernie odziany — precz dawali, co innym już przypaść miało. Ukrywając tedy kilkoro chleba pod opończę idzie ów do domu, aż ci po drodze natknął się na żebraczkę co miała dziecko malusie w łachmanach i tak zbiedzona, że jeno skóra, a kości. Wyciąga ona rękę do niego i powiada: „Dostałeś sam człowiecze, dajże i mnie!” A on się jeno ofuknął; Cie-ja! radabyś? ale nie mam co bym sam jadł”, Ona rzeknie: „Proszę ciebie dla mego dziecka, człowiecze: toć-że widzę, że masz chleb pod opończę!” A on niegodzisz, łąga prosto, bez zająki: „Kamienieć niosę, co sobie spust u młyna zakładam”... I jakoby na przyswiadczenie swemu łgarstwu, tyka palcem chleb przez opończę. Tedy z nagłą jasności niebieskie ogarną oną żebraczkę i owo z niej już Rodzica Boża z maluczkim Jezuskiem na ręku! *(wymawiając te słowa, chyli głowę i żegna się, co też czyni babka i dzieci).* I skrzyknie go głos słodki jakoby granie, zaś mocny jak grzmot od nieba do ziemi: „Nie plam ust kłamem! Niechże ci będzie kamień!” — Pojrzał ów nieszczęśnik, a tu już znikło święte widzenie, jeno promyki we słońcu grają, gdzie stała Żebraczka z Dzieciną!

Jagusia *(chwytyjąc się obu rękami za głowę).* O Jezul! dyć to takie dziwy!

Babka i Bogna *(podnoszą pobożnie złożone ręce).* Bądź pochwalony Boże, w swojej mocy!

Mirko *(zrywając się z kolan ojca).* Tatulu! puśćcie mnie; niech ja jego nauczę, co to nie uszanować Najświętszej Paniienki!

Ojciec *(kładzie mu rękę na ramieniu).* Nie wiedział-ci on wprawdzie, że to Rodzica Boża, ale nie uszanował ubóstwa i chciw był nad miarę.

Babka: A cóż nieszczęśnik tedy począł, gdy się opamiętał.

Ojciec: Okrutnie się pokajał swego grzechu! O ziem się rzucił i w piersi bił się ze skrucą — a tu czuje, że nieprawdy chleb co go miał owiniony w chustę, dziwnie mu czegoś zacieżył: posięgnął tedy do niego, aby uwidzieć — aźci nie chleb ma w chuście, jeno szczerzy kamień, a w nim wytłoczony jeszcze znak od palca, jako go był wraził przez opończę!...

Bogna: O rety! toćże aż zimno człowieka bierze.

Babka: Anieli niebiescy! taki cud oczywisty!...

Mirko i Jagusia *(razem składając ręce).* Dziw! dziw!...

Ojciec: Co widzący, ów grzesznik jeszcze się okrutniej zatrwożył i wraz się zawrócił do Ojców, do klasztoru, gdzie wobec wszystkiego ludu jeszcze zgromadzonego, z wielką pokorą wyznał swoje zgrzeszenie i on kamień z bywszego chleba, wszystkim ukazał — który, Ojcie zabrali od niego i dla przykładu jako pokaran bywa łakomca i niemiłościwy, w bramie Bożym na wieczne czasy uwiesili. On zaś bywszy grzesznik, majątność swoją rozdał ubogim, a sam do klasztoru pewno przyszedł, na najniższego braciszka.

Babka: Podziękaj piękna tobie synu, żeś nam wieść tak dziwną przyniósł i opowiedział tak cudowne zjawienie!

W progu, staje matka, z niewielkim czarnym dzbaneczkiem w ręku i pełną jakiegoś ziela zapaską, której rogi za pas podjęte.

Matka *(wchodząc).* Chwała Najświętszej Trójcy!

Wszyscy *(odpowiadają chórem).* Chwała Jej po przez wieki!

Matka *(wysypuje ziele z zapaski).* Takem śpieszyła — ile tchu w piersi a siły w nogach biegłam, bo oto tu szczaw i lebioda i ziele rozmaite i grzybów parę — com mogła, zachwyciłam i niosę co żywo! *(dzieci rzucają się na zieleninę, matka je lekko odsuwa).* Nie na surowo jedzcie i z prochem ziemi jako bydłatka — Bogna niechaj opłucze i uwarzy! *(Bogna krzyczy, Mirko i Jagusia, ukradkiem wyciągają listki i gryzą).*

Matka (*przystępując do babki i ujmując ją za nogi*). A to dla was, rodzona, aż z królewskiej dąbrowy. Ponoć i król sam jest na łożach i strażniki gęsto chodzą, dziw, że malin nie odebrali. To dla was maliny. (*z uciechą pokazuje garść malin na dnie dzbaneczka*). Starzyscie, zębów nie macie — ciężko wam co niebądź gryźć — pojedzcie sobie słodziuśkich jagódek.

Babka (*usuwa jej rękę z dzbankiem i wskazuje na dzieci*). Nie ja! nie!... To dla nich.

Matka. Czemż matko nie jecie?...

(*Babka kiwa na Mirka i Jagusię, aż opornych zrazu, w końcu przywabia, i ukradkiem wkłada im kolejno do ust po malinie, choć dzieci uchylają się, składając ręce, aby sama jadła. Na zapytanie matki babka odpowiada zmieszana*).

Babka: Jem sobie — jem, wolnuśko... po jagódce...

(*W tej chwili słychać kołatanie do drzwi; ojciec wstaje i otwiera — w progu staje dziad, otulony szarą oponiczą — której kaptur spada mu na oczy i zakrywa część twarzy — z pod kaptura widać szlachetne rysy i długą brodę*).

Dziad (*wchodząc*). Pokój wam, ludzie chrześcijańskie w tym domu!

Ojciec (*z pokłonem*). Pokój i tobie dziadu, i podzięka, żeś nie zawiódł, a zdzierzył słowo!

Dziad (*poważnie*). Toćże od chrześcijańskiej posługi wymawiać się nie godzi!

Matka. Bogdaj tak wszyscy myśleli jako wy, dziadu! ale do ubogiego z posługą mało kto się rad kwapi. (*ściiera ławę fartuchem*). Siędnijcie se, i kęs spoczniście — niech jeno robaczka uwinę i sama nieco ogarę.

Ojciec. Radbych was ugościć chlebem i solą — ale spojrzcie sami, że przeciw obyczajowi, u nas już od wielu dni i tygodni jeno ręcznik goły z nożem na stole, a chleba nie uświeci ani kruszyny! Sól zaś dzieci ledwie pomną po smaku! (*wskazuje nakryty kawałkiem bielonego płótna róg stołu, na którym powinien być leżeć — jak w każdej ówczesnej chacie — chleb nadkrojony, i sól dla każdego przychodnia, a leży tylko nóż i stoi pusta drewniana solnica*).

Dziad (*dobrotliwie*). Nie frasuj się, gospodarzu, bo niema o co! ja nie głodzien — wie rzaj, kumie!...

Babka (*pociągając za suknię matkę i ojca, mówi szeptem*): Córkko! Synu! „Gość w dom — Bóg w dom!“ stawcie co macie: sąż jagody! (*podaje dzbanek*).

Matka (*frasobliwie*). Są — ale wyśta jeść mieli...

Babka: Nie bacz na mnie! ja twarda — staw co żywo, bo mi dzieciaków żal, że patrzeć muszę.

Matka (*schylając głowę*): Wasza wola, rozkazanie! Weż, Bogna — podaj. (*Bogna zbliża się nieśmiało i podaje dzbanek dziadkowi*).

Dziad (*patrząc na nią z uśmiechem*). A to co, dziewczeczko?

Bogna (*z onieśmienia kręci róg fartuszka*). To babusia nasza, co całkiem na nogi nie mogą, kazali wam, gościu, postawić maliny! (*śmieje się*). Sami jeść mieli, ale powiadają: „Wy pierwsi, boście cudzy są!“ Jedzcie dziadku!

Dziad (*żywo*). Chowaj mnie Bóg, bym was objadał.

Bogna (*stano wczo*). Juści, jak babka kazała, to zjeść musicie.

Dziad (*śmiejąc się*). Tak-że to! muszę, choć i po niewoli? Ale dla uczciwego obyczaju, aby starych uszanować — niechże tak będzie, jakbym się chlebem z wami przełamał! (*wysypuje garstkę malin na dłoń i podaje Bognie, aby, z nich wzięła, co gdy zaptłonią uczyniła, pozostałe kładzie do ust oddaje i Bognie dzbanek, mówiąc*): Resztę, oddaj, dziewczeczko, babuli! Wyborne, świeże maliny! Rwaliście w sadzie, czy w lesie?

Babka tymczasem rozdziela resztę między dzieci.

Ojciec Sadu u nas nie ma kole chaty, boć i chata i pole nie nasze; na pańskim siedziemy, za dań i za robocizny — to człeku i pacyzka wsadzić ani wyciąć niewolno, jeno trzymać tę ziemię, jako mu ją zdali pańscy włodarze.

Dziad. A tu u was dokoła taki sam wszędy porządek?

Ojciec. Gdzieby zaś! jaka pańska wola takie postanowienie: nasz pan dosyć ściśliwy jest — jenszy bywa i lżejszy.

Dziad. Godziłoby się, aby w tej całej krainie jedno było prawo dla wszystkich!

Matka (*od chwili zapytania „Skąd maliny“ zmieszana i niepewna zdaje, się nie słysząc co babka mówi*). Toć mu już powiem jak było! nie zaprę się, bo najgorsze kłamanie! Pytaliście o maliny, dziadu — nie mojeć po sprawiedliwości jeno Boskie najpierw, a królewskie potem!... Z wielkiego głodu, nie mogąc nic znaleźć dla swoich, jako ta pliszka marna, co drobiazg w gnieździe musi wyżywić i bierze co popadnie, rwałam je dzisiaj w królewskiej dąbrowie — (*obcy zwraca ku niej głowę z widoczną zajęciem*). Byłabych i więcej przyniosła jeno, że mnie wyścigało granie rogów: pono król w lasach sprawia obławę — lichoby się z nim spotkać było, niesący jego własne maliny i ziela zapaskę!

(d. n.)



Dokument historyczny.

Jako uzupełnienie «Wspomnień z lat młodości», które takie zainteresowanie wzbudziły wśród naszych czytelników, połączamy kopię urzędowego raportu do Rządu Narodowego o przebiegu bitwy pod Chełmem, z d. 5 sierpnia 1863 r., w której autor «Wspomnień» brał udział. Oryginał tego raportu znajduje się w Muzeum Narod. Rapperswillskim.

Nr 8. Rok 1863. Sierpień. Kopia.

Wiadomości z placu boju.

Województwo Lubelskie. Ogłaszamy dziś szczegółowy raport o bitwie pod Chełmem, o której zrobiliśmy wzmiankę w poprzednim doniesieniu.

Dnia 5-go b. m. połączone oddziały Eminowicza i Ćwieka, zanocowawszy w Stawie, o milę od Chełma, na wiadomość, że nieprzyjaciół spodziewany jest w Chełmie, wyruszyli ze Stawu wraz z oddziałem pułkownika Rudzkiego, który ze Świąticy nadciągnął. Około godziny 8-ej zajęliśmy Chełm. Ponieważ zaś doniesiono, że nieprzyjaciół ciągnie od Krasnegostawu, Włodawy, Uściługa i Dubienki, niepodobna więc było trzymać się w Chełmie, dla niebezpieczeństwa zupełnego obsaczenia.

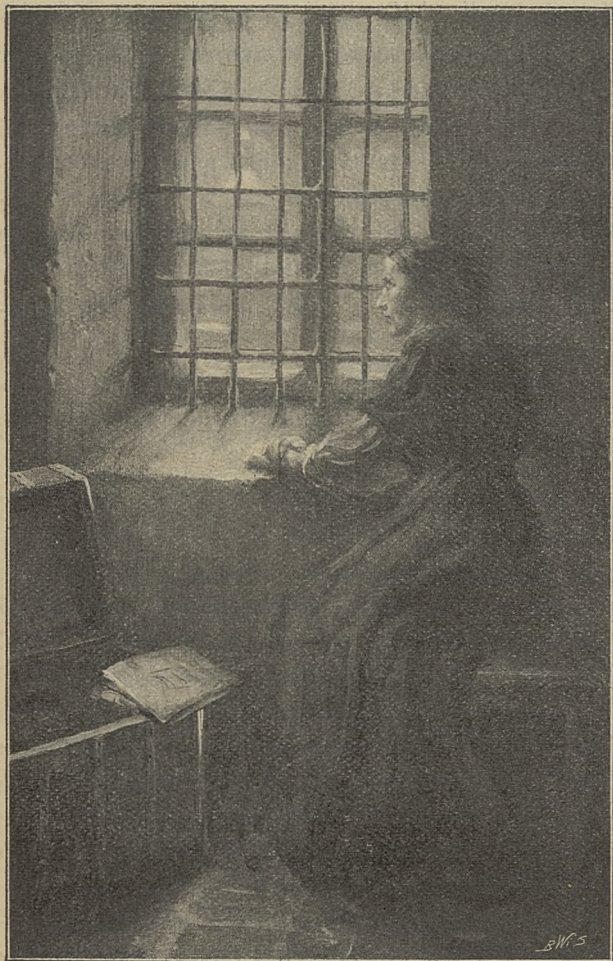
O godzinie 1-ej dano znać, że nieprzyjaciół w sile dwóch rot strzelców, jednej rot liniowej i sotni kozaków, od Depułtycz się zbliża. Natychmiast sformowawszy się, ruszyliśmy do Pokrówki i tuż za tą wsią rozpoczął się bój tyralierski. Nieprzyjaciół cofnął się na wzgórek krzaczasty, nasi zaś rozstawili się w taki sposób: cały oddział majora Eminowicza w pierwszej linii, to jest: jedna kompania strzelców — pod kapitanem Rudowskim na prawem, druga pod kapitanem Gromeką na lewem skrzydle, kosynierzy pod kapitanem Stachem we środku.

Prócz tego stał w pierwszej linii na lewem skrzydle, do zajęcia nieprzyjacielowi tyłu przeznaczony, oddział naczelnika Ćwieka; karabinierzy w drugiej linii stanowili posiłek tegoż skrzydła; cały oddział pułkownika Rudzkiego tworzył drugą linię dla środka i skrzydła prawego. Pierwszy moment boju udał się przez śmiałe postępowanie tyralierów. Nieprzyjaciół, opuściwszy wzgórek, cofnął się do karczmy Depułtyckiej, dominującej nad naszym prawem skrzydłem, dominowanej zaś przez nasz środek i lewe skrzydło, gdyż nasi zaraz wzgórek krzaczasty zajęli.

Moment drugi stanowiło wyparcie nieprzyjaciela z korzystnej pozycji pod karczmą. Prawe skrzydło tyralierów śmiało podsunęło się pod górę i zajęło wiatrak, równocześnie armatka majora Eminowicza, dawszy trzy razy ognia, zmusiła nieprzyjaciela do cofnięcia się do Depułtycz.

Tu wspomnieć należy, że cały oddział Rudzkiego zamiast kolumnami postępować rozsyłał się. Tym sposobem porządek tylko na lewem skrzydle był utrzymany, gdzie Gromek i ludzie Ćwieka w pierwszej, karabinierzy zaś w drugiej linii wzorowo się sprawowali. Środek nasz i prawe skrzydło li tylko tyralierskim łańcuchem nieprzyjaciela z pozycji wypierało, co tem trudniej było dla skrzydła prawego przez nieprzyjaciela dominowanego.

Kapitan Rudowski zasłużył się dobrze. Nieprzyjaciół z Depułtycz wyparty, nie zajął nawet blizkiego lasu, tylko pędem uciekł, aż poza Wierchowiny. Za lasem armatka dobrze ustawiona, przyczyniła się po raz drugi do kompletnej ich ucieczki. Dla blizkości Krasnegostawu nie można było dalej ścigać nieprzyjaciela, sformowawszy się zatem w Wierchowinach, pomaszerowaliśmy napowrót do Depułtycz. Bój trwał do g. 7 po południu.



Narcyza Żmichowska (Gabryela) w więzieniu.

Słynna poetka nasza, gorąca patriotka i entuzystka, była czas jakiś więziona w 1845 r. w klasztorze pp. Brygidek w Lublinie.

Ilustracja ta wzięta jest z nowej książki s. p. Teresy Jadwigi «Gabryela», zawierającej życiorys poetki (p. Wydawnictwa gwiazdkowe str. 611 i 612).

Dzielnością i mężstwem odznaczyli się: z oddziału naczelnika Cwieka: major Adolf Murdelio, kapitan Roman Krasuski, adjutant kapitan Julian Matkowski, adjutant Zakrzewski; podporucznicy: Korczyński Franciszek, Jaruszewski Wilhelm, Babicki Bronisław i Muszalski Zygmunt; od żuawów: Żukowski Aleksander, Żebrowski Julian; od strzelców: Ignacy Chojnacki, Ludwik Zaremba, Antoni Godziszewski; od kosynierów: Wojciech Czajkowski. Z oddziału majora Eminowicza przedewszystkiem dzielny: Rudowski, Gromejko, adjutant Rusiecki Henryk, podporucznik Henryk Samborski, towarzysz doktor med. Władysław Kościeszka czyli Nieszkowski, który dopełniwszy mężnie obowiązków żołnierza, opatrywał rannych, za co mianowany na placu bitwy podporucznikiem, podoficer Jan Ożarowski z kawalerji, który znudzony bezczynnością uwijał się ciągle przed łańcuchem tyralierskim, zagrzewając do boju; trębacz Wojciech Gawrył nie odstępował łańcucha, trąbiąc do ataku. Dalej odznaczyli się: podoficer Bogumił Becker, towarzysz Telesfor Szczerba, Gustaw Herman, Antoni Nowakowski, Andrzej Kadler, Stanisław Ochyński. Doktor Grzybowski i kapelan Pleszyński z zaszczytnem poświęceniem dopełnili obowiązków swoich.

Straty nasze: 14 zabitych i 39 rannych, między ostatnimi podporucznik Korczyński i Kaczorowski, 4 konie padły, 8 ranionych. W liczbie zabitych znajdują się: Lipski, dowódca kawalerji i nieodżałowany Józef Turczynowicz, b. organizator powiatu piotrkowskiego. Nieprzyjaciela razem zginęło przeszło 90; drugie tyle rannych, między którymi naczelnik wojskowy okręgu chełmskiego, i dowódca, major Büchner.

Warszawa, d. 25 sierpnia 1863 r.

(Pieczęć drukarni Rządu Narodowego.)

Za zgodność z oryginałem, znajdującym się w aktach z r. 1863/64 w Muzeum Narodowym Polskiem w Rapperswyłu.

(—) I. Rużycki de Rozenwerth, konserwator Muzeum i członek Rady.

Rapperswył, 15 sierpnia 1898 r.

(Pieczęć Muzeum.)

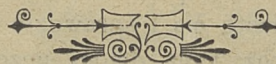


Na Boże Narodzenie.

Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus.

Hej, w dzień narodzenia Syna jedynejo
Ojca przedwiecznego, Boga prawdziwego,
Wesoło śpiewajmy,
Chwałę Bogu dajmy
Hej, kolenda, kolenda!

(Początek starej pieśni kolendowej)





(Ciąg dalszy.)

Skorzystam tylko z nowych zdobyczy naukowych; włożę mianowicie ubranie nurka (skafander). Mój opiekun, któremu opowiedziałem całą historię i który po raz pierwszy w życiu uznał, że jestem zdalny do czegoś, pożyczył mi dostateczną sumę pieniędzy. Wynajęłem sobie dwu pomocników i dwa dni temu wziąłem pierwszą lekcję nurkowania w Sekwanie w pobliżu mostu Bercy... Co to za przykre uczucie!... To zimno, które otacza człowieka, nie mocząc go przecie, to błękitnawe oświetlenie, ustępujące wkrótce zupełnej ciemności, wskutek czego trzeba używać lampy elektrycznej; brak równowagi, bo w pierwszych chwilach ma się ciągle skłonność do wypłynięcia na powierzchnię nogami do góry! Przytem trudność oddychania w tym hełmie, przykra duszność... Dziś już jednak, po piątej z kolei lekcji szło mi lepiej. Spacerowałem jak po własnym domu.

— Wyjeżdżam jutro z moimi pomocnikami i całkowitym przyrządem nurkowym do Audierne; jest to okres odpływu. Chcę najprzód, gdy morze będzie daleko od brzegu, odnajdywać codziennie potrochu drogę rzymską pod piaskiem, mułem i kamieniami, które ją kryją na dnie morskiem. Następnie, doczekawszy się wiatru od lądu spuszczać się w morze i pójść w kierunku wskazanym do drugiego słupa...

Byłbym bardzo zdziwiony, gdybym tam nic nie znalazł...

W dniu rozpoczęcia działania przysłał panom telegram. Nie wątpię, nie chcę wątpić, że szczęście mi dopisze.

Tak brzmiał list Henryka.

Przygotowania. — Wątpliwość Eweliny.

W Audierne, Henryk zatrzymał się ze swymi pomocnikami w zajazdzie, stojącym na uboczu i podał się za fotografa, pożądającego pięknych widoków do swych zdjęć; tym sposobem unikał mnóstwa pytań i ciekawości natrętwów, w ten sposób także tłomaczył swe przybory, które opakowane porządnie umieszczono w szopie pod przykryciem.

Pomocnikom powiedział, że prosto chce odnaleźć miasto Ys i sprawdzić starą legendę. Przyrzekł też tym dwóm uczciwym i tegim

chłopcom, którzy dawniej byli rybakami, hojne wynagrodzenie, jeśli poszczęści mu się w poszukiwaniach.

Nazajutrz już rozpoczął swe zajęcia w czasie odpływu.

Szedł drogą rzymską aż do punktu, w którym zaczynało się morze i gdzie bruk ustępował miejsca piaskowi i kamieniom; o dziesięć metrów dalej kazał gruntować, na głębokości metra bruk odnaleziono; ta sama czynność, powtórzona trochę dalej, dała te same wyniki; trzecia próba była nieudana i trzeba było potem trzy razy zaczynać zanim znów bruk odnaleziono, w tem miejscu bowiem droga lekko skręcała... W każdym razie przypuszczenia jego sprawdzały się doskonale...

Legenda o mieście Ys nie była częstą baśnią.

Po kilku dniach pracy, kierując się za pomocą busoli i znacząc kamienie, udało mu się nakreślić cały bieg dawniejszej drogi... Przy końcu, w miejscu, gdzie pokrywało ją morze w chwili największego odpływu, stała się bardzo szeroka i brukowana większymi kamieniami: miasto musiało być niedaleko... Henrykowi pozostawało już tylko czekać przyjaznego wiatru od strony lądu!

Dwaj jego pomocnicy przejęli się gorąco całą tą sprawą; dokładnie, z jaką Henryk prowadził ją, wydawała im się nadzwyczajną i otaczała go dziwnym urokiem. Wzięli sobie za punkt honoru odnalezienie zatopionego miasta. A że byli przesądni, jak wszyscy Bretończycy, więc poszukiwania te miały dla nich pociąg specjalny.

Niepokojące odkrycie — Zawsze banda Z?...

Pewnego ranka Henryk wyszedł bardzo wcześnie z zajazdu, aby sprawdzić stan morza i możliwość zmiany wiatru. Nagle wydało mu się, że na zakręcie drogi jakiś człowiek chowa się szybko za krzakami. Henryk przeszedł koło nich, ale o jakie pięćset metrów dalej, w miejscu, gdzie droga szła przez mały laszek schował się z kolei za buk i wkrótce ujrzał, w ubiorze wieśniaka... Harrego Stronga!

Amerykanin kroczył ostrożnie, z oczami utkwionymi w drogę, widocznie śledząc Henryka. Ten ostatni powrócił zaraz do zajazdu, bardzo zakłopotany. Bandyci ślad jego odnaleźli, bo przecie Strong, ten głupi olbrzym, nie przyjechałby do Audierne z własnej inicjatywy...

Henryk przesiedział cały ranek w domu. Odwaga młodzieńcza i pewność siebie osłabły w nim znacznie. Aż dotąd walczył mężnie i to z większymi niebezpieczeństwami, ale tego już było zawiele...

Przy śniadaniu doszła doń ważna wiadomość, która utwierdziło go jeszcze w obawach: jeden z pomocników opowiedział mu, że widział w południowej części zatoki, jak probowano olbrzymiej łodzi naftowej, prawdziwej szalupy, mogącej pomieścić cztery osoby, obdarzonej ogromną szybkością.

Henryk, bardzo zainteresowany, kazał opisać sobie ludzi, którzy nią kierowali i których pomocnik jego, ukryty za wielkim odłamem skały, widział dobrze. Byli to z wszelką pewnością Mac Zidley, Briello i Lafouine.

Po śniadaniu Henryk zamknął się w swoim pokoju, aby pomyśleć spokojnie. Bandyci musieli go śledzić drobiazgowo od chwili jego powrotu, jeszcze w Paryżu, pewni, że kiedyś doprowadzi ich do kryjówki. Nie wiedząc, którejdy trzeba im będzie za nim podążyć, morzem czy ziemią, zabrali oprócz automobilu łódź naftową. Wszystko to było doskonale wykonane, bo Henryk ani na chwilę nie spostrzegł, że jest śledzony. Gdyby nie wielka niezręczność Stronga, opowiadanie pomocnika nie miałoby dla niego znaczenia. — Co robić?...

Zadawał sobie właśnie to pytanie, gdy weszli obaj jego pomocnicy, bardzo zadowoleni. Wiatr zmieniał kierunek, dziś wieczorem możnaby już zacząć działanie... Henryk wahał się chwilę, ale potem zdecydował się nagle. Czempredziej się to wszystko skończy, tem lepiej. Niech się dzieje, co chce! Postanowił dziś jeszcze spuścić się w głąb morza.

— O której godzinie — zapytał — poziom wody będzie najniższy?

— Punktualnie o 1-ej m. 4 po północy, — odpowiedział jeden z pomocników.

— Dobrze, o tej godzinie zatem spuszczać się w morze... Zaopatrzenie się tylko w dobrą łódź, mogącą oprzeć się falam.

— Mamy właśnie taką, proszę pana; morze jest stosunkowo spokojne i przy pomocy wiatru od lądu, który właśnie wiać zaczyna, będziemy mogli działać dość łatwo, zarzucając kotwicę w razie potrzeby.

— Dobrze, bądźcie więc gotowi! Aha, a nie wiecie czasem, gdzie ci ludzie umieścili swą szalupę po skończonych próbach?

— Owszem panie: w małej przystani, dość cichej, na zachód; przywiązali ją między dwoma występami skalnymi, tworzącymi półwysep, idący dość daleko w morze, tak, że zarówno w czasie przypływu jak i odpływu łódź może być spuszczana.

— Czy to daleko od naszej drogi?

— O trzy kilometry mniej więcej.

— W takim razie przeniescie ubranie, nurka i wszystkie przyrządy do łodzi już o 9-ej wieczorem, a potem bądźcie na miejscu, ale nie

zapalajcie światła; punktualnie o 1-ej zatrzymajcie się na końcu drogi... busola wami pokieruje, może też księżyc świecić będzie... Ach: byłbym zapomniał: o szóstej, gdy noc zapadnie, jeden z was zaprowadzi mnie do owej szalupy naftowej, owych nieznajomych, chcę ją zobaczyć.

Henryk dotrzymuje słowa Briellowi.

Henryk przez cały dzień nie opuszczał swego pokoju.

O szóstej jeden z pomocników przyszedł do niego, tak jak to było umówione. Henryk wyszedł nie przez drzwi i nie na drogę, ale przez tylne okno zajazdu prosto w pole. Widział bowiem ze swego pokoju olbrzymią sylwetkę Harrego Stronga pod jabłonią w pobliżu.

Wkrótce znaleźli się nad zatoką, która jednak dzisiaj nie usprawiedliwiała swej złej sławy: fale zachowywały się bowiem dość spokojnie. Pomocnik wytyłomaczył, że ten względny spokój sprzyja bardzo przedsięwzięciu Henryka; morze bardziej burzliwe nie pozwoliłoby łódce utrzymać się w dostatecznej równowadze. Gdy stanęli koło pewnego rodzaju skalistej grobli, idącej daleko w morze, pomocnik powiedział:

— To tu, panie!

— Dobrze, wróć teraz po kolegę i bądźcie na morzu od 9-ej, koniecznie!... O pierwszej po północy będę na miejscu umówionem.

— Dobrze, panie.

Zadanie tych ludzi było niezmiernie trudne. Audierne, nawet w czasie niezwyklej cisy, odznacza się strasznymi prądami. Wiedzieli o tem, ale poszliby teraz za Henrykiem do samego piekła!

Ten zaś szedł wolno wzdłuż grobli, zwiężającej się coraz bardziej; po obu stronach ryczało morze; trochę światła księżycowego przeciskało się przez żółtawe chmury... Nagle o 20 metrów od niego podniósł się z pośród skał jakiś człowiek.

— Kto idzie?—krzyknął gromkim głosem.

Henryka nadtchnęło coś, aby odkrzyknąć:

— Z!...

— A, to ty, Lafouinie! -- odezwano się znowu i Henryk poznał głos Briella...

W tej samej chwili wiatr zadał mocniej, tak, że bohater nasz i Włoch musieli się nachylić i znaleźli się nagle przy sobie; zanim bandyta zorientował się w sytuacji dwoje ramion objęło go wpół, stracił grunt pod nogami i... plusnął we wzburzone fale morza.

(d. c. n.)



WĘZEŁ BRATNI.

W Ameryce liczą obecnie około trzech milionów Polaków. Wychodzący owi, chociaż oddzieleni oceanem od rodzinnego kraju, nie przestają myśleć o nim jednocześnie i na obcej osiedleni ziemi z ojczyzną swą, młodszemu pokoleniu nawet nieznana, starają się być zespoleni.

W obec. żywego zainteresowania, jakie budzą teraz ogólne sprawy Polaków na drugiej półkuli, czy nie byłoby pożądanem, aby młodzież polska zechciała nawiązać stosunki z młodzieżą polską w Ameryce? czy taki węzeł bratni nie stanowiłby z czasem istotnej spójni moralnej?

Zwolennicy języka międzynarodowego „Esperanto“ wprowadzili z powodzeniem wymianę korespondencji pomiędzy uprawiającymi ten język, chcąc stanowić wszechludzki niejako związek.

Sądzę, że daleko łatwiej dałby się zadzierzgnąć „węzeł bratni“ pomiędzy rodakami rzucenymi z powodu zbiegu okoliczności na dwa przeciwległe światła krańce.

Dzielenie się młodzieży wrażeniami stanowiłoby nowość oryginalną i pouczającą, a zarazem rzuciłoby nić sympatii pomiędzy młodzieżą sercami ożywionymi uczuciem jednakim, miłością wspólną Ojczyzny zbliżonemi.

Chodziłoby tylko o to, aby listy nie były czczą gawędą, by zawierały o ile można zwiększone streszczenie faktów, zdarzeń lub własnych spostrzeżeń. Szkolne życie dałoby prawdopodobnie dużo materiału do wspólnych pogadanek.

„Wieczory Rodzinne“ mogą chętnie pośredniczyć w tej sprawie. W tym celu weszlibyśmy w porozumienie z najbliższymi z polskich dzienników w Ameryce, n. p. „Dziennikiem Narodowym“ lub „Zgodą“ (Chicago), i przez nie otrzymalibyśmy nazwiska i adresy młodych rodaków naszych, chcących się zapoznać listownie z naszymi czytelnikami, podając przy tem krótką autobiografię:

N. p. Nazywam się...

Mieszkam w...

Jestem uczniem (uczenicą) szkoły...

Mam lat...

Z nauk najwięcej lubię...

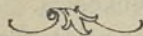
Uprawiam sport...

Mam kolegów polaków... i t. d.

Tysiące innych szczegółów nasunęłoby się samo przez się, a telegraf bez drutu zamieliłaby myśl serdeczna przelatująca, jak prąd

elektryczny przez lądy i morza według proroczych słów wieszczów:

Hej! ramię do ramienia spólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko,
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!..



Skrzynka do listów.

Nie odpowiedzi na listy zawierać będzie dzisiejsza skrzynka, tylko najserdeczniejsze życzenia wesołych świąt dla wszystkich czytelników „Wieczorów“, zarówno dla tych, którzy obdarzają mnie swymi listami jak i dla nieznanymi prenumeratorów naszego pisma. Nieznani, ale drodzy sercu, bo dzieci polskiej ziemi, odbierzcie wszyscy w dzień Wigilijny dowód serdecznej łączności między redakcją a wami, którym ta redakcja pragnie w każdym numerze pisma przesłać rozrywkę, naukę, umocnienie na drodze obowiązku. Wytrwajcie w nim. Spełńcie położone w was nadzieje kraju i rodziny; oto moje życzenia dzisiejsze.

Jaskółka.



Sprawozdanie z konkursu robót ręcznych dla pańienek.

Wielki zawód spotkał w tym roku położone niektórych ochron, siostry miłosierdzia i kilkanaście znanych redakcyi bardzo ubogich rodzin, które przed świętami zgłaszały się do nas po ubrania i bieliznę, nadsyłane przez Czytelniczki „Wieczorów Rodzinnych“ na doroczny konkurs robót ręcznych.

Przez lat 20, jak konkurs ten istnieje, nigdy jeszcze tak mało pańienek nie stanęło do apelu. Zamiast po 100 do 200 sztuk robót, otrzymywanych dawniej, przyszło zaledwie około trzydziestu, a co najdziwniejsza, że zostały wykonane wyłącznie przez czytelniczki nasze, mieszkające poza Warszawą, nieraz w odległych od kraju miejscowościach.

Tem większą żywimy dla nich wdzięczność, że mając i wokoło siebie potrzebujących — bo gdzie ich niema! — czuły się w obowiązku, jako Polki, przyjść także z pomocą pracą rąk własnych ubogiej dziatwie stłoczonej w największym polskim mieście, w tej stolicy Zygmuntońskiej, Warszawie, którego stan ekonomiczny jest obecnie tak bardzo ciężki. Dowodzi to prawdziwie głębokiego poczucia narodowego i obywatelskiego.

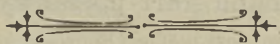
Jako pamiątki od „Wieczorów Rodzinnych“ przyznaliśmy naszym kochanym praco-

wniczkom nagrody w książkach i wzmianki zaszczytne, uwzględniając przy sądzeniu robót wiek oraz jakość i ilość robótek. Nie wdając się w szczegółowy rozbiór robót, musimy z zadowoleniem stwierdzić, że są z małymi wyjątkami starannie i umiejętnie wykonane. Oto lista nagrodzonych, ułożona podług wieku:

Nagrody otrzymują: Jadzia Goldsztaub, Nowa Kalina, Trawka Słowieńska, Irena Tymowska, Halinka Urbanowiczówna, Kulka Świdówna, Nemophila, Marya Kałuska, Jadwiga Kulesszówna.

Na wzmianki zaszczytne zasłużyły: Marychna Bobińska, Żmujdzinka, Janka Czapska, Klementyna Serredinówna, Gwiazdeczka, Mrówka.

Po nagrody w książkach najlepiej zgłaszać się do redakcyi, kto nie będzie miał stosownej okazji, niech zechce nadesłać 20 kop. markami, gdyż tyle kosztuje przesyłka rekomendowana tych książek, przeważnie oprawnych, a przesyłka bez zapisania bywa bardzo nie pewna. Tym, które zasłużyły na wzmianki zaszczytne redakcyja roześle kalendarzyki na r. 1907.



Ż A R C I K I.

W szkółce początkowej.

Nauczycielka.

— Antosiu, ile będzie 20 bez 20-u?

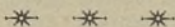
Uczeń milczy.

Nauczycielka.

— Pomyśl tylko, miałeś w kieszeni 20 groszy i zgubiłeś je. Więc co masz w kieszeni?

Uczeń (żywo).

— Dziurę, proszę pani!



Urywek z wypracowania uczenicy IV klasy na temat: słońce i księżyc.

...Ludzie są niesprawiedliwi i niewdzięczni względem księżyca, oni krzywdę mu czynią, stawiając niżej od słońca, bo zapominają o tem, że księżyc świeci w nocy, to jest właśnie wtedy, kiedy nam światło najbardziej potrzebne, a słońce świeci w dzień, kiedy i tak jest dość jasno..

Od Administracyi.

Prosimy o wczesne nadsyłanie prenumeraty na rok 1907-my dla uniknięcia zwłoki w otrzymywaniu pisma i dla obliczenia wiele egzemplarzy mamy drukować.

Izby rzemieślnicze św. Antoniego.

Wspólna № 69.

Niewątpliwie nasza młodzież, posiada bardzo miłosierne serca, lecz też i słuszną ciekawość, która może temu zakładowi, oddać wielką przysługę. Niejeden czytelnik „Wieczorów“, zapewne zapragnie zwiedzić te Izby i naocznie się przekonać, co tam się dzieje. Bardzo go do tego zachęcamy. Otóż, zastanie 20 sierot rozmaitych lat, zajętych nauką właściwą ich wiekowi, lub pracą nad fachowem wykształceniem.

Są to sieroty, które w tym przytułku św. Antoniego, znajdują dach, ubranie, pożywienie i serca miłujące. Jednak fundusze zakładu są bardzo ograniczone, a tu trzeba założyć drugi warsztat od Nowego Roku i miejscową szkołę, a głównie też idzie o powiększenie liczby sierot, których tak wiele w naszym kraju!

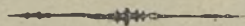
Szczęśliwa młodzież pojęcia mieć nie może o niedoli dziecięcej — trzeba ją koniecznie ratować, dając dobre moralne wychowanie i sposób do życia.

Zbudowana tem, co widziałam na Wspólnej № 69, przyjaciółka dzieci i biednych sierot, zwracam się z gorącą prośbą do młodzieży polskiej o wspomnienie tego zakładu, z powodu zbliżających się świąt Bożego Narodzenia, dla uczczenia Bożej Dzieciny, która z miłości ku nam narodziła się w ubogiej stajence.

Nie łakoci potrzeba tym ubogim dzieciom — lecz grosza na rozwój zakładu. Zawsze gotowe do pomocy „Wieczory Rodzinne“ otworzyłyby rubrykę ofiar na ten cel — śpieszcie więc z datkiem choćby najmniejszym. Ziarno do ziarnka, a będzie miarka.

Przyjaciółka młodzieży.

Elżbieta Makomaska.



Wydawnictwa gwiazdkowe 1907 r.

nadesłane do redakcyi.

1 Z księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

Jak Państwo budowali Polskę. Opowiadania p. *Zofię Bukowiecką*. — Wyborny rys popularny rozwoju społecznego Polski od początku czasów historycznych do Kazimierza Wielkiego włącznie, z gorącą miłością i gruntowną znajomością dziejów, barwnie i żywo skreślony przez tyle zasłużoną autorkę, znaną dobrze czytelnikom „Wieczorów Rodzinnych“.

Historia o Janku Górniku p. *Z. Bukowiecką* wyd. 2-e. Cena kart. rb. 1,20 w ozd. opr. rb. 1,80.

Księżniczka Katarzyna przekł. z ang. *M. Zaleskiej* wyd. 2-e kop. 60.

Gabryela pow. z życia Narcyzy Żmichowskiej p. *Teresę Jadwigę* rb. 1,50 lub 1,80.

Pamiętnik młodej dziewczyny przekł. z ang. *M. Zaleskiej* wyd. 2-e kop. 60.

Z dziejów odkrycia Ameryki opow. hist. p. Falkenhorsta przekł. *K. Jurkiewicza* wyd. 2-e rb. 2 lub 2,60.

Męczennicy w imię nauki p. *G. Tissandier* wyd. 2-e.

Wygnańcy w lesie p. *Mayne-Reid'a* wyd. 4-e rb. 1,20 lub 1,80.

Dzieci polskie w dawnych czasach p. *W. Bełzę* rb. 1 lub 1,30.

O siedmiu siostrzyczkach opow. dla dzieci.

Świąteczka pow. dla młodszych dzieci p. *St. Okołowiczównę* kop. 80.

Powieści prawdopodobne dla dzieci przekł. z franc. *I. Chęcińskiego* wyd. 6-e.

Michałak opow. z czasów Jana Kazimierza p. *Z. Bukowiecką* kop. 20.

Henryś Skowronek p. *Z. Bukowiecką* kop. 15.

Z WYDAWNICTW GWIAZDKOWYCH.



Mała Eskimka.

Rysunek do pow. «O siedmiu siostrzyczkach.»

2. Z księgarni M. ARCTA.

Z czasów Jadwigi i Jagiełły pow. na tle historycznym przez *Teresę-Jadwigę*.

Dawid Copperfield podług *Karola Dickensa*. Na zamku Nasielskim, opow. z XVIII w. p. *A. Zielińską*.

Podróż bez pieniędzy p. *Wł. Umińskiego* wyd. 2-e.

Opowiadania z życia zwierząt p. *E. S. Thompsona*.

Książki dla Tadzia i Zosi.

Pamiętnik Stacha, p. *Maryę Buyno*.

Powiatki Mamusi, p. *Z. Jeżewską*.

Kalendarz Kaliski 1907 r. wydany na korzyść szkoły rzemiosł w Kaliszu, cena kop. 40.

Ks. Józef Poniatowski (życie i czyny) opowiedział *Wł. Trąmpczyński*. Wyd. T. H. Nasierowskiego.

Od Redakcyi.

Sprawozdanie z zadań do nagrody i listę nagrodzonych podamy w № 52-im.

Zamiana kart pocztowych

(za pozwoleniem rodziców.)

Jadzia Kuleszówna, gub. Grodzieńska p. Porozów m. Choroszewicze pragnie korespondować z Litwiną z nad Płyczy i Gałązką bluszczu i prosi je o nadesłanie pocztówek.

TREŚĆ:

Choinka bezdomnych (wiersz—z ryc.) przez Ignacego Balińskiego. — Jak obchodzono w Polsce Wigilię. — Głód, przez Zofię Mrozowicką. — Dokument historyczny. — Narcyza Zmichowska (Gabryela) w więzieniu (ryc.) — Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus (ryc.) — Z ?... (z ryc.) — Węzeł bratni. — Skrzynka do listów. — Sprawozdanie z konkursu robót ręcznych dla pańienek. — Zarciki. — Izby rzemieślnicze św. Antoniego. — Wydawnictwa gwiazdkowe na rok 1907 (z ryc.) — Ogłoszenia.

Dodatek: Pokój ludziom dobrej woli (wiersz z ryc.) przez Znat. — Bajka o promyku, który nigdy nie gaśnie. — Honor szkoły. — Zadania i łamigłówki.

JASEŁKA

odbywać się będą w zakładzie „Domu Wychowawczego“ przy Szp. Dz. Jezus, na ulicy Nowogrodzkiej od godz. 4 — 6, począwszy od dnia 26-go grudnia do 1-go lutego.

Łyżwy wszelkich najnowszych systemów
Krzysztof Brun i Syn
w Warszawie, plac Teatralny.

Prenumerata „Wieczorów Rodzinnych“ wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek.

OGŁOSZENIA: po 20 kop. wiersz 1 szp. petitu.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

Redaktorka Ludwika Hauke. Wydawczyni Marya z Chomentowskich Ballńska.

W drukarni E. Szyllera, Nowy-Swiat 26.

Pokój ludziom dobrej woli.

*W Betleemskiej cichej ziemi
Blask słoneczny kona
I noc ziemię obejmuje
W gwiazdziste ramiona...*

*W Betleemskiej ziemi cichej
Jakieś dziwne noce:
Coś się dzieje, coś się staje,
Coś błyska w pomroce,*

*Coś nadchodzi! i świat cały
Przenika nadzieją,
Jakieś nowe światła w górze
Nad ziemią jaśnieją!*

*Hej z daleka, hej z wysoka
Wiatr posłaniec leci,
Drzewom szepce pochylonym:
Uciszcie się, dzieci!*

*Hej, anielskie chyba skrzydła
Znalazł wiatr na niebie
I otulił niemi wszystko
Naokoło siebie,*

*Bo przez chwilę taka cisza
Zaległa na ziemi,
Jakby Bóg sam ust jej dotknął
Palcami świętymi.*

*A zaś potem, z dalekości
Wstało jakieś granie,
Pastuszkowie twarze skryli,
Popadali na nie.*

*Z twarzą w prochu, pochyleni,
W serc pokorze świętej,
Wysłuchali pieśni onej
W niebiosach poczętej.*

*... Święta nocy! Cicha nocy!
Rajska nocy cudu!
Oto Pan wszechmocny przyszedł
Do swojego ludu!*

*Oto w żłobku położony,
Na pachnącem sianie,
Jezus nowonarodzony,
Świata zmartwychwstańcie!*



*Pokój ludziom dobrej woli
W pałacu i chacie,
Pokój Wam, co Zbawiciela
W ciszy serc czekacie.*

*Spłynie ku wam ukojenie,
Jak niebieska manna,
Pokój ludziom dobrej woli,
Hosanna! Hosanna!...*

*Idą, śpieszą pastuszkowie
Z aniołami razem,
Sypiąc łzami, jak perłami:
Każdy z nich — aniołem!*

*Idą, śpieszą do Dzieciątka,
Serce swe mu niosą...
A świat cały płacze szczęścia
Dyamentową rosą.*

Bajka o promyku, który nigdy nie gaśnie.



(Dokończenie)

Święty odrazu wiedział, o co dzieciom chodzi i rzekł, patrząc im w oczy z dobrym uśmiechem:

— Promyka chcielibyście, któryby wam świecił i w najciemniejsze noce, przez życie całe, na przekór burzom i zawieruchom? Znam jeden taki promyczek, znam — maleńki on jest ale taki jasny, że największą ciemność rozświeci — on to właśnie wskazuje mi drogę w mojej ziemskiej pielgrzymce. Chodźcie za mną; na dziś wezmę was w moją służbę, abyście się nauczyli śladem tego promyczka chodzić i jego blaskiem wszystko sobie rozświecać. Aniołkowie tymczasem tu zostaną i będą czuwali nad waszą matką, zanim wrócicie. Tu skinął na aniołków, aby kosze z podarkami oddali dzieciom do niesienia. Janek załknął się trochę, czy tak wielki ciężar udźwignąć potrafi, — ale ku wielkiemu zdumieniu kosze, mieszczące w sobie tyle cudnych rzeczy, okazały się tak lekkie, jakby samem puchem napełnione były — widać dary niebieskie nie ciężkie są tym, co je niosą.

I wyszli razem na ciemną drogę, wiodącą ku wsi, a dokoła wietrzno było i czarno, tylko pod stopy Świętego siał się skądś promień światła i wyłaczał wąziutką ścieżkę, po której szedł Posłannik niebieski i dzieci biegły, trzymając się z obu stron jego złocistej kapy, chroniącej je doskonale od chłodnych podmuchów. Skąd płynął ten promień, trudno było odgadnąć — dzieciom zdawało się tak, jakby padał wprost z okienka ich własnej chatki — ale zapewne myliły się, boć przecie w chatce było ciemno i lampka nie paliła się dziś z braku oliwy.

Im bardziej oddalali się od chaty, tem smuga światła stawała się węższą i bledszą, zawsze jednak jeszcze dostateczną, aby im drogę wskazać; aż doszli tak jej śladem pod sam próg drugiej chaty, w której mieszkał Mateusz, ubogi wyrobnik z żoną i sześciorgiem dzieci. — Smutno tam było, bo właśnie najstarsza córka leżała chora, a młodsze dzieci poszły spać bez kolacji, gdyż pieniądze przeznaczone na chleb wydano na lekarstwo dla chorej.

Święty Mikołaj długo patrzył przez szyby, rozglądał się po izdebce, jakby miarkując, czego tam nie dostaje — aż nareszcie sięgnął do swoich kosztów i szparką w okienku przesunął dary przeznaczone dla biednej rodziny.

Jak tam potrafił taką szparką tyle rzeczy wsunąć, to już niewiadomo — zwyczajnie Świę-

ty inne miał i lepsze niż ludzie sposoby — dość, że w jednej chwili na pustym stole znalazł się smaczny i obfity posiłek dla całej rodziny; brudna podarta chustka, którą chora leżała okryta, została zastąpiona ciepłą, nową kołderką, a pod poduszką każdego z młodszych dzieci znalazł się jakiś śliczny podarek, tak stosownie dobrany, jakby Świętemu najdrobniejsze potrzeby i upodobania każdego dziecka doskonale znane były.

Hanusia i Janek z największym zaciekawieniem patrzyli przez okienko w głąb izdebki, na te cuda, co się tam działy: byłiby tak chętnie całą noc przestali, czekając aż się każde z dzieci obudzi i swój podarek pochwyci, ale Święty naglił do pośpiechu, zwrócili się tedy w dalszą drogę. A szli teraz znowu szlakiem tak świetlistym, jakby im kto pełną garścią promienie słoneczne pod stopy rzucał — szli i rozmawiali z siwowłosym Świętym, niby z dziaduniem własnym o radości, z jaką obdarzone dzieci pobudzą się nazajutrz.

I obeszlita wieś jedną, drugą i dziesiątą, nie czując najmniejszego znużenia, owszem coraz to raźniejsi i pełni lepszej ochoty, i wszędzie zostawiali podarunki, których moc nieskończona musiała się mieścić w koszach, bo w nich nawet żadnego ubytku znać nie było ku wielkiemu zdziwieniu dzieci — ot, widać że dary niebieskie nie wyczerpią się a mnożą, im więcej się z nich czerpie i bliźnim rozdaje!

Światło, wskazujące im drogę, nie zgasło też ani razu, a jeśli czasem na króciutką chwilę przybladło, to skoro tylko podstąpili pod próg jakiej chaty, w której mieli zostawić owe dary, tajemniczy promyk rozpałał się górami, ponad ich głowami, wśród splątanych gałęzi. Poza tym szumem odzywały się inne, bardziej jeszcze żalosne głosy: To ptak ćwierkał smętnie, chłodem i głodem wypędzony z gniazda — to sarna rozpaczliwie zwoływała swe młode, spłoszone od jej boku przez myśliwych.

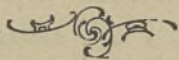
A Święty Mikołaj nawet najmarniejszego stworzenia nie pominął obojętnie — głodnym ptaszkom pierniki i słodkie obwarzanki rozkruszał i rzucał na drogę — sarnom ścieżki wskazywał, prowadzące w najciemniejszą głąb lasu, ku najpewniejszym schronieniom i gdy tak czynił, rozwidniały się ciemności leśne wokół podróżnych, jakby każdy ptaszek i sarna każda wdzięcznem spojrzeniem blask im słały pod nogi.

Dzieci biegły coraz zwawiej, bo rade były choćby ziemię całą tak oblecieć, aż nareszcie zdyszały się i nie mogąc już tchu złapać, przystanąły dla odpoczynku. Święty Mikołaj uśmiechnął się do nich z dobrocią i kładąc im obie ręce na czołach, zroszonych potem, rzekł:

-- Na dzisiaj dość już dzieci — nauczyliście się już chodzić śladem tego promyka, który w największych ciemnościach świeci i pewnie drogę wam rozjaśni niż wszelkie inne świetniejsze blaski. Promyk ten zwie się: „Cudza radość“ — i nie ma człowieka tak biednego, któryby sobie nie mógł życia nim ozłocić. Najuboższy żebrak, największy samotnik, znajdzie jeszcze zawsze obok siebie serce czyjeś, które gdy zechce, rozradować potrafi. I wy sami, choć jesteście mali i biedni, choć wam tylu rzeczy nie staje, z tego szczęścia nie zostaliście wydziedziczeni.

-- Dobre słowo, drobna przysługa, uśmiech życzliwy, śpieszący naprzeciw każdemu bliźniemu sercu, okruch chleba rzucony głodnym ptaszkom, nawet pieśczęta udzielana kudłatemu Burkowi za jego wierne usługi — to wszystko osnuje wam życie siatką promyków drobnych, których blask rozproszy ciemności waszych własnych smutków i niedoli. Idźcie w życie siejąc promyki takie dokoła siebie — błogosławieństwo was na tę drogę i oby jak najprędzej wybiła godzina, gdy wszystkie ciemności ziemskie pierchną przed blaskiem tych promieni „cudzej radości“, nieconych przez serca bliźnie.

Tu Święty krzyż nakreślił nad pochyłymi głowami dzieci i zniknął nagle, jakby się w mgłę złotą rozplątał. Gdy Hanusia i Janek drżący ze wzruszenia i dziwnie słodką pokorą pochyleni do ziemi, podnieśli się nareszcie z klęczek i spojrzeli dokoła: — zamiast ośnieżonych pni świerkowych ujrzeni znowu ściany własnej chatki, które świt rumienił pierwszą zorzą, i matulę krzątającą się już około wygasłego komina i Burka wymachującego radośnie ogonem na dzień dobry małym przyjaciółom. Dzieci zdumione rozglądały się dokoła, przecierając oczy — sen-li to był, czy jawa, to co widziały i słyszały dzisiejszej nocy — tej nocy pełnej cudów, gdy Święty Mikołaj chodzi po świecie i „cudzą radość“ rozsiewa?...



HONOR SZKOŁY.

Zygmunt, Franio i Oleś, uczniowie szkoły X. szli, pobrzękując wesoło łyżwami, Nowym Światem.

Był to poranek wigilijny, chcieli razem użyć ślizgawki. Postępowali krokiem rażnym, prowadząc wesołą rozmowę. Franio, najstarszy z nich, zuch do zabawy więcej niż do książki, wpadł właśnie na wyborny koncept: oto zapowiedział kolegom, że każdego z przechodzących

ulicą zaczepi, do każdego zagada, i już od pięciu minut świetnie się wywiązywał z tej obietnicy.

— Dzień dobry panu! — mówił, kłaniając się uprzejmie jakimś zupełnie obcemu przechodniowi. — Panu dobrodziejowi cygaro zgasło — zagadnął, mijając jakiegoś staruszka. — Przepraszam bardzo, która godzina? — Czy pan kominiarz umyje się na jutrzejsze święto? — Was wollst, handele? — itd. itd.

Koncepta nie bardzo były urozmaicone ani wyszukane, ale niemniej Zygmunt i Oleś uśmieli się z nich jak z najlepszych dowcipów, a zaczepiani przechodnie oglądali się zdziwieni, na rozweselonych uczni; nie jeden zmarszczył groźnie brwi, ale że w wilgę każdy się śpieszy, mając pilne sprawy do załatwienia; więc nikt ich dotąd nie zgromił za to niestosowne zachowanie.

— A papierosy masz? mieliśmy przecie po ślizgawce popalić trochę, obiecałeś, że nas poczęstujesz — zagadnął nagle Oleś, przerywając potok wymowy Frania.

— To się wie, że mam, kiedy obiecałem, ale nie przeszkadzaj mi, bo ot, zaraz przepuściłem jednego faceta, nie zagadnąwszy do niego. — Panienczko, proszę się śpieszyć, mama w domu czeka — zwrócił się znów do dziewczynki zapatrzonej na wystawę sklepu z zabawkami.

W tej chwili, wśród tłumu przechodniów, przeszedł a raczej przebiegł obok nich uczeń w takiej samej jak oni czapce, porządnie ubrany, dzwigający na ręku ogromny kosz, wyładowany pakunkami i butelkami, w jakim właściściele korzennych sklepów odsyłają kupującym zamówione przez nich towary. Uczeń szedł tak szybko, z oczyma zwróconymi wyłącznie na kosz, z którego bał się widocznie zgubić jakiś pakunek, że nie zauważył nawet naszych trzech dowcipnisiów — oni jednak, minawszy go, obejrzeli się i stanęli, jak wryci.

— Uważałeś? przecie to Świrski! — wykrzyknął ze zdumieniem Oleś.

— Świrski, jak honor kocham! widocznie najął się za chłopca do sklepu, żeby nie przeproznować świąt — on, co zawsze tak peroruje, że my nie mamy prawa przeproznować ani chwili.

— Nie, dajcie pokój! tego to już trochę za wiele. Dziękuję za takiego kolegę, co piwo i masło po domach roznosi i czeka, by mu kto parę groszy w łapę wetknął.

— Obrzydliwość! taki nie wart chodzić w czapce uczniowskiej i mundurze, skoro ich nie umie uszanować.

— I to, żeby jeszcze potrzebował, żeby marł z głodu! ale jego rodzice wcale dobrze się mają.

— Chciwy także nie jest, wiem dobrze; tylko jakaś przewrócona głowa!

— Bądź co bądź, trzeba mu dać poznać, że nie myślimy tolerować takich fanaberyi. Niech sobie swoje przekonania schowa dla siebie, niech nad niemi duma od rana do wieczora, ale wara od postępów, które mogą splamić honor szkoły. Ja za pierwszym spotkaniem nie myślę podać mu ręki.

— I ja! — i ja również! — niech wie z kim ma do czynienia.

— A jeżeli on do mnie swoją wyciągnie, to mu wsunę dziesiątkę „na piwo“.

— Brawo! świetny pomysł. Ale co na to powie Norski, to jego przyjaciel?

W tejże chwili Norski, niby wywołany z pod ziemi, stanął przed nimi.

— Winszujemy ci przyjaciela! — zawołali trzej chłopcy, śmiejąc się szyderczo.

— Albo co się stało?

— A no nic — tylko Świrski widocznie najął się za chłopca do Lijewskiego i roznosi towary po domach — jeśli i do nas co przyniesie, pewno mu ojciec da za fatygę.

— Winszujemy ci druha i powiernika, co tak szanuje honor szkoły! — powtórzył raz jeszcze Oleś.

— A z pewnością, że możecie mi winowatych, choć sami nie potraficie nawet ocenić jego szlachetności — wybuchnął z rumieńcem na twarzy Norski. — Szydzicie z niego, a czyście się choć spytali, dlaczego on istotnie „najął się za chłopca do sklepu“? Dlatego, żeby wyręczyć biednego chłopaka, który dla zarobienia kawałka chleba dla siebie i matki, musiał wystąpić ze szkół i wziąć się do praktycznego zawodu; teraz matka mu właśnie ciężko zachorowała, leży samotna na jakimś poddaszu, a kupiec nie chciał Antka puścić, dopóki nie da za siebie pewnego i sumiennego zastępcy, bo w tych dniach przedświątacyjnych handel jego rzeczywiście bez chłopca do posyłek obejść się nie może. My, co mieszkamy obaj w tej właśnie kamienicy, w której jest ów sklep, wiedzieliśmy o tem — ale przyznaję się szczerze, że choć Antka znam, nie zdobyłem się na zaproponowanie mu zastępstwa. Świrski, lepszy i rozumniejszy, podjął się tego. Zamiast się bawić i używać świąt, biega z ciężkim koszem po mieście, roznosi sprawunki, o świecie zamiata sklep, i naraża się jeszcze na szyderstwa tych, co tak jak wy, powierzchownie sądzić i potępiać lubicie. Jeżeli po tem wyjaśnieniu nie przyznacie mu jeszcze, że jest sto razy więcej wart od nas wszystkich... to teraz ja wam winszuję!

Norski mówił z ogniem; trzej koledzy stąpili się nieco tem wyjaśnieniem, wobec którego rzeczywiście ich żarty i szyderstwa dość nieładnie wyglądały, ale Franio nie chciał jeszcze dać za wygraną.

— No widzisz... — zaczął niepewnym głosem — to wszystko bardzo piękne; pobudka nader szlachetna, i ja także podziwiałbym taki postępek, gdyby Świrski był zupełnie prywatnym człowiekiem. Ale kto nosi mundur, to ma względem niego pewne zobowiązania, które powinny stać na pierwszym planie.

— A czyż postępek taki przynosi ujmę mundurowi, czyż nie powinien raczej być jego chlubą! — wykrzyknął Norski. — Ja mam to święte przekonanie, że tylko złe sprawowanie się, lenistwo, nieuczciwość i brak koleżeństwa mogą splamić honor naszej szkoły i naszego munduru. A teraz bądźcie zdrowi — śpieszę do wujostwa na śniadanie.

Przyznać trzeba, iż papierosy ukryte w kieszeni Frania, znikły rzucone w pierwszą bramę. — Gdy chłopcy wracali ze ślizgawki, spotkali znowu Świrskiego, tym razem już z pustym koszem na rękę, wszyscy trzej wyciągnęli do niego dłonie gotowe do serdecznego, koleżeńskiego uścisku.

Zadania i łamigłówki.

SZARADA

K. C.

Pierwsze zwierzę; drugie piąte

Potrzebne w podróży;

Piąte trzecie na spoczynek

Zmęczonemu służy.

Piąta czwarta w myśl przysłowia

Na pstrym koniu kroczy;

Wszystko jesto w naszym kraju

Zakątek uroczy.

Łamigłówka w trójkącie.

* * * * * Zastąpić gwiazdki i kropki
* literami, i wyszukać wyrazy, któ-
* rychby litery oznaczone gwiazdkami
* złożyły nazwę pieśni okolicznościowej.
* **Znaczenie wyrazów:**
* 1) ... 2) Miasto w gub. Kielec. 3) Rośliny
* pnące w lasach podzwrot. 4) Rzeka w Hiszpa-
nii. 5) Dopływ Warty. 6) Nuta muzyczna. 7) Samogłoska.

Rebusik

dla Czytelników.

eso	eso	eso	iąt	iąt	iąt	
eso	ły	eso	ch	iąt	ś	iąt
eso	eso	eso	iąt	iąt	iąt	